

Paweł Fleszar

Wyśniona jedenastka

Rozdział pierwszy
Kwiecień 2004

I.

Pewnie nie znaleźliby tego trupa, gdyby nie rowerzyści. Pierwszy obdzwonił ich z oburzeniem przy połączeniu alejki spacerowej z biegnącą górą, wałem. Szli ramię przy ramieniu trzymając się za ręce, więc zajmowali ponad połowę dróżki. Z drugim omal nie zderzyli się w blaszanym przejściu pod tamą na Dąbiu. Dlatego usunęli się aż nad rzekę, przy akompaniamencie strug przepuszczanych przez zaporę i uderzających w nurt poniżej. Tu w trawie, między rzadko rosnącymi krzakami i drzewami, można było co najwyżej wdepnąć w psią kupę lub pustą butelkę. W ubiegłym tygodniu wszystko zaczęło kwitnąć, w powietrzu unosiły się stosowne zapachy. Za to znad wody zalatywał lekki smrodek, ale jeszcze w styczniu, gdy szwendali się bulwarami, między Zabłociem i Podgórzem, Karolina powiedziała poważnie, że ona jest ze wsi i woli zapach zgnilizny od spalin i smogu. Ubarwiła to wyznanie humorystycznymi wspomnieniami, w rodzaju upadku z fury z sianem, kiedy drewniany kozioł na którym siedziała zahaczył o rozciągnięty na podwórzu kabel doprowadzający prąd z domu do obory. Gdzie z kolei innym razem krowa zgasła jej światło, kopiąc ją w głowę. To było ich drugie umówione spotkanie i po raz pierwszy pomyślał, że chyba poznał dziewczynę swojego życia. Może nie ze względu na upodobania, ale szczerość i brak pretensjonalności. W najgorszym razie jest dziwaczką, co znacznie lepsze i rzadsze niż zetknięcie z pozerką.

Brodziła wąską ścieżką; idąc za nią miał przed oczami odsłonięty kark i pojedyncze, jasne włoski wymykające się spod klamry. Schylił się i pocałował ją w szyję. Usłyszał jak zachłystuje się powietrzem, ni to w szlochu, ni w stłumionym okrzyku. Jeszcze przed chwilą, gdy koło rowerowe niemal uderzyło ją w udo, odskoczyła z cichym przekleństwem. Co jest?! Tak na kobiety nigdy nie działał.

- Ppopopatr? No, ppopatrz tam? Co tto jest? - pokazywała na zabetonowany uskok, kończący się małą pochylnią, o którą pluskała woda. I na której leżał, na wpół zanurzony, nagi człowiek. Gruby manekin. Tak mu się skojarzyła jego barwa i kształty. Przecież takie rzeczy nie dzieją się naprawdę. Niedawno był świadkiem podobnie surrealistycznego zdarzenia, gdy w galerii handlowej facet wlaź w szklane drzwi, których nie zauważył, a nie odsunęły się przez jakieś zacięcie.

- Trzeba coś zrobić. Wezwać kogoś. Policję, czy pogotowie - szeptała gorączkowo Karola z twarzą przy jego ramieniu.

Na pogotowie było już za późno. Większa fala poruszyła tułowiem, który obrócił się frontem w ich stronę; Maciek zobaczył sumiaste wąsy, pod nimi otwarte usta i wyszczerzone zęby. Niżej - jeszcze jedno. To kości grdyki błyszcząły z rozciętego gardła.

W policyjnej furgonetce chyba rozbiła się butelka z cytrynowym odświeżaczem powietrza. Aż kręciło w nosie. Karolinę, która dygotała tak, że nie mogła słowa z siebie wydusić, odwieźli do szpitala, jemu kazali czekać na złożenie zeznania. Przez okienko widział policjantów robiących zdjęcia, ogradzających teren, wieszających taśmy na otaczających betonowy uskok czarnych, stalowych konstrukcjach. Zjeżdżały się kolejne samochody.

- Ooo, co za niespodzianka! - rozległo się od drzwi. Tak, to pasuje do tego surrealistycznego krajobrazu, uznał Maciek. Gliniarzem powinien być jego kolega ze studiów na prawie, którego ostatni raz widział, kiedy Czarny Rycerz i jego przyboczny Krwawy Sebastian wjechali w nich jak niemieckie zagony pancerne na ułanów II Rzeczypospolitej.

- Nie widziałem cię od tamtej kampanii wrześniowej - myśli Mateusza, któremu problemy z prawem administracyjnym najwyraźniej nie przeszkodziły w zostaniu oficerem policji, biegły tym

samym torem.

- Jak to na wojnie, pokonana armia rozpiezchła się. Mnie udało się przetrwać w lazarecie, z warunkowym zaliczeniem roku. Ty podobno ubrałeś mundur Kup Sobie Wykształcenie?

- Odzyskiwał powoli równowagę po wstrząsie. W Krakowskiej Szkole Wyższej lądowało trochę spadochroniarzy z UJ. Tych, których było na to stać.

- W moim przypadku to przesada, byłem już przecież prawie po czwartym roku. Wystarczy: Kup Sobie Wpis. Ta dziewczyna, która była z tobą, czuje się już lepiej. Widziałem ją przy Kopernika, podali jej środki uspokajające. Koleżanka odbierze od niej zeznanie. Kim ona jest dla ciebie?

- Koleżanką. Jakie to ma znaczenie?

- Ustalam fakty.

- Z Wisły wypłynął woskowożółty nieboszczyk z rozplatanym gardłem, a policję interesują moje relacje z dziewczyną?

- Dobra, wróć. Chciałem zacieśnić kontakt nawiązując do kwestii, które wywołują u rozmówcy miłe skojarzenia. Tak nas uczyli na kursie niedawno. Ale widzę, że u ciebie nie wywołują.

- Bardzo ją lubię, tylko że pierwszy raz w życiu znalazłem zamordowanego człowieka i skojarzenia mam jednoznacznie negatywne.

- Dopiero śledztwo wykaże, czy został zamordowany.

- Zaciął się przy goleniu?

- Słabe. To mógł być wypadek. Ma też nietypowe obrażenia, na przykład rozległy ślad po poparzeniu na lewej piersi.

- Po wypłynięciu z wody to faktycznie dziwne.

- Ma skórę poszarpaną jak od kwasu. Ale nie wyciągaj ode mnie takich informacji. He, he. Weźmy się do roboty. Opowiedz, co tu robiliście i jak znaleźliście tego gościa.

II.

Przy budynku mieszczącym drukarnię i "Echo Małopolskie", a także ich w charakterze niedobitków, czuć było zapach karmelizowanego cukru, przywiewany z Ronda Kotlarskiego razem z odgłosami przedpołudniowego ruchu samochodowego.

Wczoraj wieczorem odbierał ze szpitala Karolinę. Małomówną, otepiałą od środka uspokajającego, odprowadził do akademika przy Śliskiej. Po powrocie wypił trzy piwa i chyba tylko dlatego udało mu się zasnąć. Obudził się po czterech godzinach; leżał starając się odgonić spod powiek obraz gołego wosacza, a z głowy uporczywie myśli: kto go zabił? zabili go? dlaczego? Dlaczego wrzucili go do Wisły, dlaczego wypłynął w tamtym miejscu? Przypominały mu się kryminały, czytywane nałogowo od dziecka. Ludzie, którzy na początku natykali się na trupy, zwykle później nie uczestniczyli w akcji powieści, nic też nie wiedziało się o wątpliwościach nękających ich w związku ze znaleziskiem. O na wpół bezsennych nocach oraz zaskakujących rannych drzemkach, przez które spóźniali się do pracy.

- Proszę, pan Maciej Porzyński odwiedził redakcję "Rekordu" - Anna Leśniak na ogół witała się zgryźliwie. - Wy, dziennikarze, wysypiacie się jak niemowlęta. Ale pewnie powiesz, że jesteś typem nocnym i wolisz długo siedzieć, niż wcześniej wstać?

- Nie. Jestem wyznawcą kompromisu w każdej dziedzinie - ani nie kładę się późno, ani nie budzę się wcześniej.

- Masz cukrzycę, że tyle śpisz?

- Narkolepsję. - Przy tej kobiecie po czterdziestce jakoś nigdy nie brakowało mu refleksu. Może

dlatego, że w kwestii stosunków damsko-męskich była dla niego zupełnie neutralna. Za to życie uczuciowe dziennikarzy budziło jej szczerze zainteresowanie. Temat miała na podorzędziu.

- Byłeś wczoraj widziany, gdy zabierałeś spod "Błękitka" jakąś pannę i szliście w kierunku "Związkowca". Czemu ja jeszcze nic o tym nie wiem?

- Bo o błogosławieństwo prosi się przed ślubem i to bliższych krewnych, niż szefowa działu wydawniczego.

- Ale na tym etapie możesz przedyskutować sprawę ze mną. Jaka ona jest?

- Miła, inteligentna. Studiuje anglistykę na UJ.

- Jaki ty, młody, jesteś naiwny. Po co ci inteligentna i wykształcona żona? O filozofach będziesz z nią rozmawiał przy osranych pieluchach? Nie będziesz. Lepiej znajdź sobie ładną, żeby ci koledzy zazdrościli.

- Karolina jest bardzo ładna. A wczoraj wspólnie znaleźliśmy trupa obok Stopnia Dąbie. Myśli pani, że to scementuje nasz związek? - Najwyższy czas przerwać te pogaduszki w sposób drastyczny.

- Miałeś mi mówić przez ty... Zaraz, co ty gadasz!?! Tego topielca, o którym piszą w "Kurierze"? Nagiego?

- To prawda, był tekstylnie niedowartościowany. Ale chyba nie utopił się, tylko go schowali nieżywego do wody. Sorry, muszę iść na zebranie.

- I tak mnie zostawisz bez puenty?

- Puenty szuka policja. Porozmawiamy jeszcze. Muszę iść, bo Gromuś znowu mi będzie brzęczał.

Trochę zdeptali tego bramkarza, kiedy Dawid Miarka zapakował do sieci, ale sędzia nie gwizdnęła. "Kuchenkarze" mogą żegnać się z nadziejami na mistrzostwo. Jakoś zupełnie inaczej ich traktują, odkąd "Cukiernik" przeniósł się do Poznania. No i tych trzydniowych imprez dla dziennikarzy w hotelu klubowym we Wronkach już nie ma. Urządzano je z okazji meczów ligowych, ale niektórzy nie mieli potem nawet siły wyjść na trybunę. Jak zwykle, kiedy musiał napisać relację w trakcie meczu i wysłać ją do redakcji tuż po ostatnim gwizdku, miał karuzelę w głowie i różne absurdalne myśli, produkowane przez mózg w tej gorącej.

- Żadnego faulu nie było! - O bramkarzu chyba bezwiednie powiedział na głos, bo siedzący obok Jacek z "Echa", skądinąd sympatyczny i na ogół trzeźwy, od razu zaprotestował.

- Znowu niebiesko-biało-czerwony szaliczek wyjechał ci na oczy, Jacuś.

- Tak się zgrywasz, ale w rzeczywistości sam im kibicujesz.

Na porządną kłótnię obaj byli zbyt zajęci. Zresztą, jak miałyby mu wytłumaczyć? Owszem, sympatyzował z tymi konkretnymi ludźmi, z którymi spędzał więcej czasu, niż z najbliższymi. Ale kibicować fanatycznie klubowi? Pomińmy fakt, że dziennikarz powinien być obiektywny, bo teraz już prawie nikt nawet się nie starał. Marzena, ich fotoedytorka z Warszawy, opowiadała, jak po zakończeniu meczu w Gelsenkirchen jej sześciolatek synek, siedząc po turecku przed telewizorem, rozbeczał się. Kompletnie się rozkleił, choć wcześniej niespecjalnie się interesował Wisłą, czy wręcz - futbolem. A największą zaletą sportu jest właśnie to, że może wywoływać takie emocje i wzruszenia. U każdego, nie tylko u tego wrażliwego dzieciaka. Zamykać się przed wieloma możliwymi doznaniem, ograniczać tylko do jednego klubu? Absurd!

- Bardzo trudno jest mi orzec, czy to gol, czy nosorożec - zadeklamował Tomciara.

Maciek przestał uderzać w klawisze, spojrzął na licznik. 6000 znaków. W sam raz. Wklepał tytuł: "Ziarnko do ziarnka i zbierze się Miarka". Żeby jeszcze nic się nie schrzaniło przy łączeniu. Przystawiał telefon do portu podczerwieni laptopa i tak łączył się z internetem, a potem tekst

wysłał mailem. Wystarczy potrącić blat, odrobinę poruszyć komórkę i wszystko się zrywa. Dobra, poszło. Kilka "kulek", czyli krótkich notatek ciekawostkowych wysłał już wcześniej. Na konferencję z trenerami idzie Tomciara, z Warszawy przyjechał Darek, który zrobi jakąś rozmówkę, więc właściwie to już wolne.

Na starym stadionie brakowało miejsca na wszystko i ludzie z trybuny głównej mieszały się z dziennikarzami, a ci drudzy - z VIP-ami z łoża właściciela. W kawiarence mogłeś natknąć się na krakowskich aktorów, kabareciarzy, a na schodach obok: na ministra, prezesa PZPN, albo selekcjonera reprezentacji. I z każdym dało się zrobić wywiad, o ile nie był kiepskim humorze, albo w zbyt dobrym, czyli trafiony. Maciek docenił to w ubiegłym roku w Brukseli, gdzie stanowiska dziennikarskie były odseparowane od wszelkich innych, poza dostępem do salki konferencyjnej i mixed zone, przez którą przechodzili zawodnicy.

Tak czy owak, wypadaloby pozbierać od wychodzących piłkarzy jakieś wypowiedzi do wykorzystania jutro czy pojutrze. "Dziennikarze dzielą się na dobrych, złych i sportowych" - przyłożył mu na studiach Marek Sobolewski, kiedy powiedział, że chciałby pisać o piłce nożnej, koszykówce i siatkówce. Powszechny brech. Gość był laureatem nagród, jeździł do Jugosławii, Czeczenii, Afryki, tutaj prowadził warsztaty prasowe na dziennikarskiej podyplomówce. Zajmująco opowiadał, jak przez kilka dni po powrocie z podróży czeka, aż wrażenia odsięją mu się w głowie, po czym przystępuje do pisania cyklu reportaży. Rzeczywiście świetnych. Ale gdyby musiał przygotować materiały zajmujące całą stronę w niespełna dwie godziny, w trakcie trwania meczu, który powinien jednocześnie oglądać i opisywać, gdyby trzykrotnie w tym czasie musiał zmieniać wymowę tekstu, bo każdy z wyników stwarzał zupełnie inną sytuację w lidze - przekonałby się, która część dnia jest najdłuższa.

III.

Telefon pierwszy raz zadzwonił, kiedy Maciek był w łazience, piorąc w wannie majtki i skarpetki. Zlekceważył go. Zmobilizował się dzisiaj, bo jutro nie miałby już czego ubrać. Jak zawsze w takiej sytuacji pomstował sam na siebie, że nie włączył pralki. Uznał, że to za małe przedsięwzięcie, a teraz męczył się spocony, schylony w pół, z bolącymi plecami. Późno zasnął, ale tym razem przynajmniej nie myślał o nieboszczyku. Wracały wczorajsze sytuacje boiskowe, zdania napisane w relacji, fragmenty rozmów. Komórka znowu rozjazgotała się fanfarą.

- Wstałeś rano z gorączką?

- Cześć, przepraszam, mógłbyś mi dać numer do Przemka Tomczaka? - Darek trochę się jąkał, przejęty.

- Jasne, zaraz ci prześlę wizytówkę. Co się stało? Strasznie poruszony jesteś.

- Muszę go przeprosić... Bo wiesz... Ten wywiad, który z nim zrobiłem... Ukazał w gazecie, jako wywiad z Dawidem Miarką...

- Nie rób jaj!

- No tak... Dyktowałem go maszynistce przez telefon, a kiedy skończyłem Damian wziął słuchawkę. Bo on miał wczoraj dyżur. Mówię do niego: "Słuchaj, nie złapałem Miarki, za to mam...", ale chyba źle mnie zrozumiał. Położył słuchawkę, a tam na początku chyba nie zaznaczyłem, że to rozmowa z Tomczakiem.

- No dobra, ale "Miara" strzelił w końcówce, a Przemek nie. To chyba po treści można było się zorientować, że to nie jest wywiad z autorem zwycięskiego gola?

- Nie wiem... No pewnie tak... Jak ja nienawidzę tej wieczornej gonitwy.

No cóż, Damian Korona, modelowy przypadek aroganckiego warszawiaka, zawsze uważał się za coś lepszego od korespondentów regionalnych, więc i dał gruchę znacznie większą niż oni, pomyślał Maciek złośliwie. A głośno powiedział:

- Nie przejmuj się tak, Darek. Parę lat temu byłem redaktorem technicznym i razem z łamaczem puściliśmy do druku gazetę z datą sprzed trzech tygodni. Wrześniową, a był już październik. On przekleił starą winietę i zapomniał poprawić daty, a ja tego nie sprawdziłem. W takiej formie znalazła się w kioskach.

- No tak, ale to już anegdota. Jak ja następnym razem Tomczakowi w oczy spojrzę?

- Założysz ciemne okulary. A teraz zadzwoń, wytłumacz. On jest czuły na swoim punkcie i tego, co się o nim pisze, nauczył mnie nawet wyłączać na noc telefon, bo dwa razy zadzwonił świtaniem z pretensjami. Z drugiej strony - to inteligentny gość, można się z nim dogadać. Jeszcze odwrócisz całą sytuację na swoją korzyść. Kiedyś był w Wiśle działacz, pułkownik milicji zresztą, który podwędził żonie spirytus, dodawany przez nią do ciast i rozmaił go, bo nie miał czym podjąć kumpli. Parę dni później zorientował się, że żona planuje wypieki, a zapomniał odkupić to, co zabrał poprzednio. Miał za to tym razem wódkę, więc postanowił zrobić z niej spirytus. Podgrzewał ją w garnuszku na kuchence gazowej, żeby woda się ulotniła. Niezbyt mu się ten zamiar powiódł, za to upił się oparami.

- Maciek, zlituj się, co ty mi opowiadasz. Jaki to ma związek z moją sprawą?

- Odwracanie procesów zachodzących w rzeczywistości może być przyjemne, nawet jeśli nie rokuje efektów. Żartowałem. Chciałem po prostu poprawić ci humor tą historyjką w stylu Dobrego Wojaka Szwejka.

Jechał do redakcji po swoją porcję absurdu. Od dwóch tygodni razem z Tomkiem umawiali się z Kotowskim na wywiad. Muzyk, który zaczynał grając na Floriańskiej, z puszką na drobne przed sobą, a teraz sprzedawał płyty w olbrzymich nakładach i był gwiazdą telewizji, to przekładał spotkanie, to nie odbierał telefonu. Raz Maciek usłyszał:

- No dobra, przyjeżdż teraz do studia i miejmy to już za sobą.

- Ale chciałbym przeprowadzić wywiad razem z kolegą. Nie dam rady poderwać go alarmem, bo załatwia jakieś sprawy.

- Z kolegą? A co ty, pedał jesteś?

No i weź się obraż.

Stanęło na tym, że wywiad z Kotowskim zrobią przez telefon. W redakcji był zestaw głośnomówiący, przy którym postawili dyktafony. Czuł lekki niepokój, bo kiedy tamten wyznaczał godzinę, był już chyba trochę ciepły.

- Dzień dobry. To jak, możemy zaczynać?

- Eee, cześć, zadzwoń za piętnaście minut, bo już dojeżdżam do domu.

Cholera, on jest coraz bardziej zalany.

- Dzień dobry, to znowu my.

- Sorry, chłopaku, nie pogadamy jednak. Nie dzwoń więcej.

Nacisnął redial, ale ten już nie odbierał. Miał ochotę się rozplakać.

- No to dupa zbita, wPorzo - Tomek jako pierwszy tak go nazwał, twierdząc, że intonacją podkreśla, iż pierwsza litera jest mała, a druga duża.

- Dwa tygodnie zabiegów, uganiania się za tym bucem.

- Nie załamuj się. Może spróbuj jeszcze raz.

- Ale po co? Jest zadżumiony, więc nawet mu nie nawrzućmy, bo do niego nie dotrze. Poza tym nie odbiera komórki. Ale czekaj... chyba dostałem też na początku numer domowy.

Idąc wzdłuż Alei Pokoju zastanawiał się przez chwilę, czy nie pojechać na Reymonta, pokręcić się trochę, posiedzieć w klubowej kawiarence, a nuż wpadnie mu do ucha jakiś cynk. Pomyślał jednak: "mam to gdzieś, na dzisiaj już dosyć" i wsiadł do "jedenastki" jadącej na Kalwaryjską. Może to metoda, którą powinien doskonalić.

Ciekawe, czy żona Kotowskiego ma na niego jakiś wpływ. Kazała im spróbować następnego dnia około 11. Tomciara żartował, że to ze współczucia dla zgębnionego głosu Maćka. A Karolina, do której przed chwilą zadzwonił z komórki, wyraźnie się ucieszyła. Nie kontaktowali się od czasu tamtego znaleziska.

Wierzba płacząca z witkami niemal do ziemi, brzoza, pod nią budka Lotto, a zaraz na rogu balkon I piętra, z którego kiedyś wpełzali w nocy, żeby portierka nie widziała, że idą do monopolowego. Po trzech flaszkach na pięciu uznali, że mogłaby ich nie wypuścić. Okazało się za to, że nie są w stanie wyjść z powrotem tą drogą i trzeba było przedefilować przed Hanką, która sprawdziła karty identyfikacyjne i nie wpuściła jego oraz Krzyśka, gdyż nie byli mieszkańcami.

Wiele innych imprez jednak się udało, a przynajmniej zostały dociągnięte do satysfakcjonującego finału. Miał w "Bursie Jagiellońskiej" paru kumpli z prawa. Specyficzny akademik, kierownik był kiedyś esbikiem rozpracowującym środowiska studenckie, zaangażowanym m.in. w sprawę Pyjasa. Co wydawało się nieprawdopodobne, bo to straszna łajza, nie panująca nawet nad wojnami podjazdowymi studentów o pokoje jednoosobowe.

Jesienią 1998 roku poznał tutaj u wspólnych znajomych Saszę, repatrianta z Kazachstanu, a kilkanaście miesięcy później przestał ufać jakimkolwiek wrażeniom i wnioskom płynącym ze spotkania obcego człowieka. Aleksander przyjechał do Krakowa z dziadkiem i ojcem, był inteligentny, studiował medycynę. Grubawy, wysoki, brodaty, rubaszny, ale uprzejmy i miły. Taki niegroźny misio, dobrodusznie reagujący na kpiny, czy przedrzeźnianie jego wschodniego zaśpiewu. Łasuch, który największą odmianę po przeprowadzce zauważył w obecności fastfood'ów; stołował się rotacyjnie w MacDonalddie i Pizza Hut. Kontakt wkrótce się urwał, po roku gruchnęła wieść o studencie, który zarznął nożem swojego ojca. Wkrótce okazało się, że to Sasza, który na dodatek wyprawił z niego skórę, ubrał ją i wyszedł przed dom, a dziadek go nie poznał. Myślał, że to jego syn...

Przypomniał sobie jeszcze Jacka, który mając dwadzieścia parę lat zachowywał się jak klasyczny alkoholik. Potem zniknął. Rozmawiali o nim kiedyś z kumplami, ktoś słyszał, że tamten leży już w grobie, coś mu się stało z wątrobą. Maciek spędził wtedy w "Bursie" noc z piątku na sobotę, a wychodząc następnego dnia przed południem zobaczył Jacka, bladego i chwiejącego się jak zjawa, trzymającego w reku buteleczkę wódki, setkę, i rozpaczliwym, zdartym głosem nawołującego jednego z portierów: "Heniuu! Heniuuu!". A choć był śnieg i mróz, spodnie miał upaprane ziemią. Na szczęście, serce Maćkowi się nie zatrzymało, był za młody, ale miał je w gardle.

Dzisiaj na spotkanie wyszło mu samo życie. Karola stała na schodach.

- W tył zwrot, Maciuś. Zobaczyłam cię przez okno. W pokoju nie posiedzimy, Magda uczy się z koleżanką, bo jutro mają kolosa. Zapraszam cię na spacer po malowniczym Dąbiu.

- Chyba żartujesz?!

O ile można toczyć gorącą dyskusję, a momentami wręcz kłótnię, szeptem, to im całkiem nieźle ta sztuka się udało. W pierwszym tramwaju, potem stojąc pod arkadami naprzeciw Poczty Głównej, w

towarzystwie majtek i biustonoszy, w oczekiwaniu na "jedynekę", a także jadąc nią do Plazy, Maciek próbował przekonywać Karolinę, żeby tego jednak nie robili, a ona upierała się, że powinni. Powinni "obejrzeć dokładniej miejsce, w którym tyle się wydarzyło". Wreszcie zaaplikowała mu tekst: "Bycie starym pierdzielem to kwestia mentalności, a nie metryki" i mógł tylko, albo zgodzić się na wszystko, albo wstać i wysiąść samotnie na najbliższym przystanku.

Wkrótce siedł bulwarami Hrabstwa Dąbie za dwudziestoletnią dziewczyną o figurze nieco pulchnej, buzi dziecinnej (z takimiż spinkami-motyłkami we włosach) i woli stalowej. Dróżka to wznosiła się, to opadała pomiędzy Białuchą, która kawałek dalej wpływała do Wisły a wyglądającym na niewykończony kościołem z czerwonej cegły. Wszystko się zieleniło, na drzewach wyrastało coraz więcej liści. Trawnikiem nachylającym się nad rzeką zbliżali się do "tego miejsca" z przeciwnego kierunku, niż kilka dni temu. Zbliżali? Odniósł wrażenie, jakby zaczęli się skradać.

Zaskoczyło go, jak słabo pamięta tę scenerię. Czarne, metalowe konstrukcje, sprawiające wrażenie pochylonego płotu stworzonego ze stojących pionowo szyn, połączonych poprzeczkami. Pośrodku coś jakby motorek, pompa? Wtedy, po kilkudniowych deszczach, woda była wyżej i dlatego wyrzuciło tu tego nieboszczyka. Teraz jej poziom spadł, już nie miałoby szans na takie znalezisko. Gdzieniedzie powiewały kawałki taśmy policyjnej. Karolina brodziła wokół, wyraźnie zafascynowana. Na policzkach miała rumieńce. Jęknął w duchu. Podniósł wzrok i wtedy to zauważył.

- Na co tak patrzysz? - była już przy nim i spoglądała w tym samym kierunku. - Jakaś rzeczka tam wypływa?

- Lepiej dajmy temu spokój.

- A może tego topielca właśnie stamtąd przyniosło? - Tak jakby go nie słyszała. - Pomyśl, skąd on mógł się wziąć. Pod prąd nie przyplłynął i przez zaporę też raczej się nie przedostał.

Po prawej, w głębi, przez minimalnie uchylone śluzy opuszczały się cienkie warkocze wody. Karolina była już nad samym brzegiem i cofała się z biegiem nurtu. Przecież ona zaraz spadnie do wody i nawet nie zauważy. Kiedy znalazł się przy niej, akurat mogli zajrzeć w głąb leżącego naprzeciwko kanału, który dalej przechodził w zatoczkę, ale poza jej brzegami niewiele było widać. Byli tak skoncentrowani nad miejscem znalezienia nieboszczyka, że nie dostrzegli go wcześniej, nadchodząc górą. Mogę zbierać się na drugą stronę mostu, omal nie westchnął głośno.

- To jeszcze miła przechadzka nad rzeczką opodal krzaczka. - Zdawała sobie sprawę, jaki jest wkurzony, więc dołożyła do tego uśmiech, za którym zeskoczyłby z tamy. Jakby żarówka zapaliła się jej w głowie, a policzki, zęby w rozchylonych ustach oraz oczy - emanowały blaskiem.

U podnóża stromych schodków szalał rudy pies. Przerośnięty kundel, ale kły, które obnażał szczekając i warcząc, miał całkiem spore. Na szczęście, był zamknięty za siatką, odgradzającą teren elektrowni Stopnia Dąbie.

Zaproponował, żeby przeszli w prawo, bo tamten kanał prawdopodobnie należy do przedsiębiorstwa, którego budynki tu widać.

"Port Besada" - głosił szyld nad bramą. Port! Miłośnikowi kryminałów i powieści przygodowych port bezbłędnie kojarzył się z porachunkami marynarskimi i trupami pływającymi w wodzie. Ale kojarzył się też z ruchem, zamieszaniem, a co tutaj mogło się dziać? Na Wiśle w Krakowie bardzo rzadko pokazywało się coś większego od kajaka, a i wtedy zwykle była to policyjna motorówka. Jeszcze trudniej o jakiegokolwiek obiekty pływające tutaj, poniżej zapory. Zapatrzył się w zdobienia

bramy - czerwone grzebienie u spodu kółka i trzy czarne zęby na jego wierzchu - widoczne na środku każdego boku obu jej skrzydeł. W jednym miejscu zamiast emblematu była tabliczka: "Teren prywatny. Wstęp wzbroniony".

- Czyli już wiemy, że ten kanał prowadzi do portu. Spróbujemy podejść wałem i zajrzeć do niego. - Karolina ciągnęła go za łokieć.

Na końcu wzniesienia prowadzącego nad wodą, za kipiącymi chwastami, pokrzywami i dzikimi ostrężynami, czekało ich rozczarowanie, bo nie widać było więcej niż z drugiego brzegu. Trzeba byłoby przedostać się na ograniczający pole widzenia wał, bezpośrednio okalający port, ale on był górą ogrodzony i bardzo stromo opadał w dół.

- Dziwnie wygląda ta sterta - palec Karoliny celował w patyki leżące nieco na ukos pod nimi. - Jakby ktoś chciał coś pod nią schować.

- Karola, daj się lubić. Zaczynasz na siłę szukać podejrzanych spraw, żeby usprawiedliwić sens tej wyprawy. Albo ją uatrakcyjnić.

- Że co? Przyszłam tu dobrze się bawić? - W jej głosie słyszał obrazę. Już schodziła ostrożnie, opierając się na dłoniach i stopach.

- Ktoś wycinał jesienią krzaki i tak to zostawił.

- Pfff. Tutaj? Mógł zostawić na górze wału, a w ogóle to powinien je zabrać.

Zdekoncentrowana straciła przyczepność i poczęła zsuwać się na pupie, aż wjechała obiema nogami w stertę. Maciek wzniósł oczy do nieba, ale z dołu doleciał go jej przeraźliwy, cienki wrzask. Nawet stąd widział zwłoki dużego wilczura i robiący straszne wrażenie pysk wyszczerzony w grymasie agonii.

Nawet nie pamiętał, jak znalazł się przy niej i pomagał wdrapać się na górę. Był tak zły, że dopiero po chwili spostrzegł, że brutalnie ciągnie ją za kaptur dresówki. Ale i Karolina chyba tego nie zauważyła. Dopiero gdy stanęli na nogach, zaczęła odzyskiwać rezon.

- Musimy coś z nim zrobić.

- Zabierzemy ze sobą, urządzimy posłanie ze starego koca i będziemy podsuwać jedzenie, licząc, że się ocknie? Do mnie, czy do ciebie, do akademika?

- Przestań! Trzeba go jakoś pogrzebać.

- Do wody go nie wrzucimy, a tutaj na wale ziemia jest tak ubita, że do jutra nie wygrzebałbym żadnej dziury. Poza tym, to nie nasza rola. Nawet jeśli to nie teren elektrowni, to najbliższy niej; zgłosimy ich stróżowi, niech się martwi.

Po serii wstrząsów Karolina potulnie zgadzała się na wszystko, za to tamten rudy kundel był w amoku, rzucał się na siatkę. Tym razem podszedł do niej zarośnięty facet w kufajce.

- Co tu robicie? Nie wolno tu wchodzić. - Spod daszka czapki bejsbolówki patrzyły na nich nieufnie przekrwione oczy.

- Zabłądziliśmy i znaleźliśmy nieżywego psa, wilczura. Prawie na końcu wału, na dole.

- To dlatego Atos taki niespokojny. Pewnie coś czuje.

Niespokojny. Sztuka eufemizmu kwitnie.

- Dobra, ja się tym zajmę. Zbierajcie się stąd.

- Ale co pan zrobi?

- Załatwię wszystko jak trzeba. Wynocha do domu. Powinienem was wygonić, jak zobaczyłem, że tam lezicie, albo wezwać policajów.

- Skończy się na tym, że ktoś nas zaprosi na kawę do Białego Domku - powiedział ponuro do Karoliny, kiedy szli w kierunku przystanku przy Ofiar Dąbia.

- To knajpa?

- Nie, komenda policji.

Poznali się tuż przed Świętami Bożego Narodzenia; on wychodził z empiku drzwiami na Sienną, ona wchodziła, więc cofnął się, aby ją przepuścić.

- Wychodzący mają pierwszeństwo - zrobiła zapraszający gest.

- Jestem źle wychowany.

- Ale za to dowcipny.

- Nikt nie ma samych wad.

Roześmiała się, a on na widok jej rozpromienionej twarzy pierwszy raz w życiu zaczął zupełnie obcą dziewczynę. Przedstawił się (dodając skrętnie, że jest dziennikarzem, ale tym - jak się później dowiedział - sprawił wrażenie bufona) i spytał, czy nie miałyby ochoty na omówienie podstawowych zasad savoir vivre przy kawie albo lodach. Na chwilę ukryła się za teatralną miną, ze zmarszczonymi brwiami, wskazującą na głębokie zastanowienie.

- Wyjeżdżam wkrótce do domu, ale w Nowym Roku może przydałaby mi się taka wiedza. Mam na imię Karolina, mieszkam w "Bursie Jagiellońskiej", studiuje anglistykę. Jeśli faktycznie jesteś dziennikarzem, nie będziesz miał problemów ze znalezieniem mnie. Wesołych Świąt! - pomachała mu i pobiegła schodami na piętro.

Ferie akademickie zaczynały się dopiero za dwa dni. Domyślał się, że to małe kłamstewko służyło sprawdzeniu, czy będzie pamiętał o tym po ponad dwóch tygodniach i czy mu zależy. Na początku stycznia odszukał ją bez trudu. Równie łatwo dogadywali się podczas pierwszego spotkania. Oboje lubili książki, często te same. Uwielbiali Kaczmarskiego, po którego płytę wybrała się wtedy do empiku. Kiedy umarł, urządzili w "Bursie" wieczór jego piosenek, granych z magnetofonu, przy świecach i winie, na który poschodziło się do trzyosobowego pokoju chyba dziesięciokrotnie więcej uczestników. A w następnym tygodniu wybrali się na tamten spacer przy tamie na Dąbiu i to był koniec uduchowionej i poetyckiej atmosfery w ich znajomości.

Łatwiej z tobą już było, dziewczyno - rozmyślał, wracając do domu po odstawieniu jej do akademika.

IV.

- Jeżeli zalegalizujemy doping, to ktoś sobie rąbnie jeszcze większą dawkę. Krew mu wytryśnie z ust na oczach stu tysięcy ludzi, albo zachowa się w kompletnie nieobliczalny sposób. Poza tym, jak miałyby to wyglądać? Wychodzą zawodnicy, za nimi lekarze i każdy bierze zastrzyk dożylnie, a potem start?

- Ben Johnson jednak twierdzi: "Walka w Seulu była równa, bo wszyscy byliśmy na dopingu".

- Jak to jest możliwe, że Johnsonowi wykryto, a innym nie?

- Może mieli lepszy doping, niewykrywalny.

- Jak to?! Johnson był wtedy najlepszym zawodnikiem na świecie i nie miał najlepszego towaru?! Nie mogę w to uwierzyć.

- To znaczy, że wierzy pan w czystość sportu?

- Nie wierzę, ale nie mogę się zgodzić na zalegalizowany doping. Nie możemy pozwolić, żeby sportowiec był naćpany po same uszy, bo w końcu ktoś ciśnie oszczepem w widzów, albo sobie robi krzywdę.

- Ilość wpadek dopingowych wśród sportowców sugeruje jednak, że większość jest na "koksie".
- W rock'n'rollu jest tak samo, tylko że nie ma badań.
- Pomaga?

- Jak tam komu. Ja tam lubię strzelić lufę czy dwie przed występem, ale wydaje mi się, że mocno naćpany zespół nic porządnego nie zagra. Chociaż... Wolałbym nie stawiać aż tak ryzykownych tez...

Może warto było znosić te upokorzenia? Kiedy zadzwonili o jedenastej, żona poprosiła o jeszcze piętnaście minut, bo Kotowski kończy poranną toaletę. I faktycznie po kwadransie to on odebrał. Sypał żartami, ale mówił z sensem, chwilami bardzo mądrze, często błyskotliwie. Mini recital przez telefon, pomyślał Maciek, kiedy piosenkarz naśladował odliczanie Kaszpirowskiego, tłumacząc, jaki Rosjanie mają patent, zamiast dopingu, na sukcesy w sporcie.

Tyle że teraz czekał ich zapieprz - spisanie tego wszystkiego z dyktafonu, ułożenie wywiadu, obudowanie go "boczkami", a na koniec telefoniczna autoryzacja. Wieczorem tekst musiał być zesłany do redakcji w Warszawie, aby zdążyli go "złamać" przed poniedziałkiem, kiedy kolorowy dodatek szedł do druku. Ukazywał się razem z piątkową gazetą.

Raz po raz kursowali z Tomkiem do automatu z kawą, stojącego przed recepcją "Echa".

- Ile razy mam wam mówić, żebyście nie truli się tą chemią. Połowa tablicy Mendelejewa tu jest - przechwyciła ich w korytarzu najważniejsza przedstawicielka działu wydawniczego.
- Nieważne co, byle sponiewierało.
- Wydajecie się tacy inteligentni i kulturalni, a oglądacie "Kiepskich".
- Bo jesteśmy bezpretensjonalni. I za to kochają nas kobiety.
- Nie zaprzeczę.

- Ale teraz musimy zamówić coś niezdrowego do jedzenia i wracać do roboty. Deadline się zbliża.

- Jesteście pierwszymi znanymi mi ludźmi, którzy traktują swoje żołądki, jak kosze na śmieci.

- Tia i podobnie jak śmietniki napełniamy i opróżniamy je tą samą drogą, czyli od góry.

Jeszcze kilka lat temu żarcie było pod ręką, w barze-sklepiku przy mieszczącej się w tym samym budynku drukarni. Na pierwszym etapie w "Rekordzie" Maciej został redaktorem technicznym i siedział tu do pierwszej-drugiej w nocy, bo musiał być przy rozpoczęciu druku każdego z trzech wydań. Po napisaniu tego, co akurat mu zlecono (a na czym mu zależało, bo już wtedy postanowił, że będzie dziennikarzem), zaczynał drugą zmianę od kupna trzech bułek. Sprzedawczyni miewała wieczorem brudny fartuch, więc starannie omijał go wzrokiem. Bułki w każdym razie były pyszne, zwłaszcza z białym serem i jajkiem na twardo, posypane grubo pieprzem. W końcu zamknął ich Sanepid, bo zdarzały się przykre sensacje żołądkowe, choćby maszynistce od nich, Agacie Księżyc, ale wystarczyło zminimalizować ryzyko i nie zamawiać rozmrażanych potraw.

Agata to jedna z dwóch kobiet jakie spotkał w życiu, które jadły nie mniej od niego. Czasami, zwłaszcza gdy spędzali po kilkanaście godzin w redakcji, zamawiali 45-centymetrową pizzę "Dracule" (z tabasco) i zjadali ją na spójkę. A na ulotce stało: "dla 6 osób".

Takie same możliwości miała Renata Małecka ze Stali Mielec, która podchodziła do swojego apetytu z humorem. Trzy lata temu był z nimi na Słowenii na meczu pucharowym. Szwedzki stół w hotelu, Renia wraca do stolika z tacą wypakowaną po brzegi i mówi: "Patrzcie, dali cały talerz jajecznicy i dołożyli do tego sześć kiełbasek!".

- Dobry wieczór. To jak, załatwimy tę autoryzację?
- Okej, dajesz.

- Tytułu jeszcze nie mamy, może coś się urodzi później. Poza wywiadem zrobiliśmy notkę biograficzną, może od niej zacząć.

(...) W 1981 roku odmówił odbycia służby wojskowej w jednostce "Zielone otoki" w Gdańsku, za co został skazany na dwa lata pozbawienia wolności. Jego nazwisko stało się wtedy głośne, bo organizacja Wolność i Pokój rozwieszała na murach ulotki o intrygującej treści: "Uwolnić Kotowskiego! Czy Chrystus przyjąłby kartę powołania do wojska?". Wiele lat później w jednym z wywiadów, spytany o to karkołomne zestawienie, opowiadał: "Myślę, że jestem Chrystusem polskiego rock'n'rolla; człowiekiem skazanym na porażkę z jednej strony i na zwycięstwo z drugiej, niczym Jezus Chrystus. Krzyżują mnie, ale to właśnie ja jestem prorokiem. Tak jest!".

- Ale ja mam jazdy czasem!

Zwykle jeszcze przed pierwszym pytaniem sugerował rozmówcom autoryzację. Dzięki temu czuli się bezpieczniej i mówili swobodniej. A potem i tak puszczaali wszystko, kiedy widzieli, że dobrze wygląda to w całym tekście. Choć niektórym zdarzało się wycofywać z kontrowersyjnych stwierdzeń. Choć Kotowskiemu - odwrotnie:

- Tutaj zmień na: "Mam w dupie innych piosenkarzy. Interesuje mnie tylko Cracovia".

- Już końcówka. - Od blisko pół godziny czytał mu przez telefon wielostronnicowy tekst.

- *Kariera muzyka nie wymaga kompromisów?*

- *Zrobienie kariery wymaga absolutnej bezkompromisowości. Na kompromisy można iść czasami z samym sobą: "Nie ćпам dzisiaj, bo mam ważny występ". Należy spytać samego siebie, czy warto być trzeźwym. Są chwile, kiedy warto.*

- I to jest dobry tytuł. "Są chwile, kiedy warto".

- No tak. Generalnie, wszystko ok?

- Tak, dziękuję. I przepraszam za te... utrudnienia.

- Nie ma sprawy. Dziękuję za współpracę. Miłej reszty wieczoru.

Ciekawe, jak każda sfera twórczości ma swoją, odrębną poetykę. "Są chwile, kiedy warto" to rzeczywiście fajny tytuł. Dla piosenki. Tutaj niekoniecznie dobrze by wyglądał. Maciek najbardziej lubił tytuły łączące lapidarność z grą słów. Nie zbliżył się jednak do ideału, jakim były cudze: "Ciągłe pada" (o bokserze stanowczo zbyt często nokautowanym, jak na jego pretensje do sławy), "Ręka Boska" (gdy trener reprezentacji siatkarzy, Ryszard Bosek zrobił udane zmiany w zwycięskim meczu) i "Defekt nowej miotły".

Jeszcze raz przeczytał wywiad, naniósł kolejne poprawki. Przed wysłaniem trzeba sprawdzić, jak się pisze nazwisko Remy'ego Bonjaskiego, o którym mówił Kotowski. No i czy nie pomylił się przy rekordzie świata Bubki. 615 centymetrów?

Kiedy otwierał google przyszło mu do głowy, że przecież można by posprawdzać, czy w porcie "Besada" nic się nie wydarzyło. No i od tego zaczął. Stara studencka praktyka zajmowania się wszelkimi duperelami, byle tylko nie wziąć się do konkretnej pracy. Na górze listy wyników wyszukiwania, zaraz po jakiejś reklamie, wyświetlił się link: "Armand dopłynął", ze strony "Serwisu Codziennego".

peku, 12.04.2004

Ogromna, prawie 60-metrowa holenderska barka "Armand" dopłynęła w święta z Rotterdamu do Krakowa.

Po drodze zatrzymała się na Kazimierzu, przepłynęła pod Wawelem, a na koniec zacumowała w porcie "Besada" przy moście Dębnickim. Tutaj...

Tak to jest, jak się włącza komputer, a wyłącza mózg. Most Dębnicki jest przy Dębnikach, koło Jubilata, a nie na Dąbiu. Pewnie chłopie nie słyszałeś anegdoty o tym starym krakowskim dziennikarzu, który mawiał: "Jestem pewny, że >Pana Tadeusza< napisał Słowacki, ale jeszcze sprawdzę", więc nie sprawdzasz niczego, co ci dobrze brzmi.

Przestał się wyzłośliwiać do ekranu komputera, bo czuł ni to łaskotanie, ni to przemarsze mrówek, raz na plecach, raz w brzuchu. Przecież to się składa w całość z wydarzeniami w okolicy!

Wybudowana w XIX wieku w Rotterdamie barka pływała pod żaglami po Renie. Potem przewoziła ciężkie ładunki już z napędem motorowym. Mierzy 53 metry, jest jedną z trzech najdłuższych w Europie, a w Holandii uwieczniono ją na znaczkach pocztowych. I taki kolos znajduje się w tym porcie?! W którym miejscu, skoro w ogóle go nie widać!?

W ubiegłym roku barkę kupiła jakaś międzynarodowa firma, z pomysłem, że zacumowana w Krakowie będzie pełnić funkcje konferencyjno-kulturalne, a być może posłuży również jako statek pasażerski. Czyli pewnie zostanie restauracją na wodzie...

W holenderskich gazetach ponoć była niezła burza, że sprzedano i wypuszczono z kraju zabytek. "Armand" całą drogę do Krakowa przebył rzekami, a w porcie "Besada", który jest również stoczną remontową, przejdzie kompleksową renowację. No dobra, to skąd ten trup (plus martwy pies)? Ktoś próbował ukraść pięćdziesięciometrową barkę? Bez sensu. Przemyt? Ale kto by przemycał coś przez kilkanaście miesięcy, skoro samochodem można to przewieźć w kilkanaście godzin. Bez sensu. Piszą, że w ładowniach zmieści się ponad pięćset ton. Gdyby przywieźć choć część tego w narkotykach? Nasyciłoby to pewnie rynek na długo i przyniosło fortunę śmiałkom. Ale jak, przecież ta barka na pewno przeszła kontrole, a płynęła też przez Niemcy. Granicy z Unią jeszcze nie otworzyli. Poza tym cała załoga byłaby zblatowana? Nikt by tego nie zauważył? Teraz już na pewno przejęli ją ci nowi właściciele, a przede wszystkim łązi po niej ekipa remontowa. Bez sensu.

Tak rozmyślając wysłał wywiad do redakcji, machinalnie wyłączał komputer, gasił światło, oddawał klucze w recepcji. Za szlabanem oddzielającym parking obu redakcji i drukarni od Lobosu stał ford escort w kolorze, który w cieniu wydawał się wiśniowy. Mężczyzna za kierownicą pólleżał na odchylonym siedzeniu.

W kieszeni zawibrował mu telefon. Numer dyżurnych z Warszawy. Czego oni mogą chcieć o tej porze? Coś nie tak z Kotowskim?

- Cześć, cześć, Maciek. Przepraszam, że zawracam ci głowę o tej porze, ale nie mogę dodzwonić się do Piotrka Gromka, a mamy tu spory kłopot - z wyraźnym onieśmieleniem potykał się na przecinkach Marek Gurgul, najsympatyczniejszy z nowej ekipy. Niestety, był pocziwym idiotą. - Potrzebujemy w ciągu kilkadziesiąt minut, góra godziny, tekstu o Wiśle. Takiego na trzy-cztery tysiące znaków, do niego dopasujemy symboliczne zdjęcie.

- Zwariowałeś!?! - odruchowo krzyknął do słuchawki. - Dochodzi jedenasta wieczór, jak ja ci o tej porze zbiorę materiał na tekst? Zakładając, że będę miał jego temat, bo złapałeś mnie w rozkroku i o dziwo nic mi nie przychodzi do głowy.

- Maciek, no bardzo cię proszę. Mamy tu awarię. Aż wstyd się przyznać, nie mów nikomu, ale okazało się, że ta sama reklama jest na stronie ogólnej i na stronie mutowanej na południe Polski. No i trzeba wyrzucić właśnie ją, bo tam już nic nie zmienimy, nie do końca to zresztą rozumiem, więc nie będę ci tłumaczył.

- Tylko jak ja ci urodzę o tej porze jakiś sensowny kawałek? Cały dzień zasuwałem przy wywiadzie z Kotowskim i w tej chwili już nawet dwóch myśli nie mogę na raz zebrać w głowie.

- Napisz coś, proszę, najlepiej o Wiśle. Cokolwiek. Na przykład jakąś analizę. Zawracając uświadomił sobie, że mężczyzna w fordzie zrezygnował z leniwej pozy i już od dłuższej chwili obserwuje bacznie jego zachowanie.

W ciągu czterdziestu minut wystukał utwór o niczym, pod tytułem "Scenariusze dla Białej Gwiazdy". Prześledził kolejki pozostałe do zakończenia sezonu, momenty, kiedy Wisła może zdobyć mistrzostwo - i w jakich okolicznościach. Jak mawiał w takich przypadkach redaktor Mocny: "gdyby to wylać na durszlak, pół kluski by nie zostało".

Może nie wściekałby się tak na tę menażerię, która teraz rządziła "Kroniką", gdyby nie to, że dużo lepsi od nich fachowcy od lipca zaczną meldować się w Powiatowym Urzędzie Pracy.

Rok temu, kiedy rozeszły się wieści, że powstanie polska wersja słynnej niemieckiej bulwarówki "Unsere Zeit", ich właściciele wymyślili trujące lekarstwo na uniknięcie choroby spadków sprzedaży. Sprowadzili z Niemiec Maksa Baumanna, byłego zastępcę naczelnego, czy sekretarza redakcji "UZeitu" i zrobili go czymś w rodzaju supervisor'a w warszawskiej redakcji. Miał zmienić "Kronikę" w bulwarówkę nie mniej atrakcyjną od przygotowywanego od wielu miesięcy, za horrendalne nakłady "Info". Szykowali się do walki mistrzem bokserskim nie w terenie, gdzie nie miałby olbrzymiej przewagi, na przykład na bieżni, ale w ringu.

"Info", które było gazetą ogólnoinformacyjną, m.in. z bardzo obszernym działem sportowym, zmiotło całą konkurencję, w tym "Kronikę". Za to dwa jesienne miesiące przed jego debiutem i dwa po nim były bardzo wesołe. Baumann miał władzę absolutną i z całą bezwzględnością przerabiał gazetę na tabloid, robiąc z tekstów bucowate jaja. Jednocześnie ciągle rozumował jak pracownik jednego z najbogatszych koncernów prasowych świata, nie było dla niego rzeczy niemożliwych. Czego echa docierały też do Krakowa. W październikowy czwartek przywitał Maćka od progu jeden z dwóch redaktorów prowadzących, Wojciech Mocny: "Jedziesz do Austrii na zgrupowanie kadry skoczków, bo z Wawy dzwoniли, że musimy mieć Małysza do poniedziałkowego numeru". "Kiedy ten wyjazd?", "Zaraz".

Zaczęli z Michałem przygotowywać się, szukać w necie hotelu, kiedy natrafili na info, że w sobotę Adaś będzie w salonie samochodowym w Gliwicach, bo jakiś dealer przekaże kadrze kilka terenówek. Nikt przed wydaniem polecenia nie sprawdził, że najprawdopodobniej rozminęliby się z nimi, jadąc do Austrii. Za to udało się przygotować materiał dziesięciokrotnie mniejszym kosztem pieniędzy i czasu, a i Małysz rozluźniony w takim otoczeniu, wylewnie opowiadał o swojej motoryzacyjnej pasji.

Dotychczasowe szefostwo stołecznej redakcji skonfliktowało się z Baumannem na tle kompetencyjnym, a pewnie i ambicjonalnym. Natomiast paru innych gości znalazło do niego drogę, choćby Stefan Jucha, który świetnie mówił po niemiecku, pisał zresztą o Bundeslidze. W grudniu szwajcarscy właściciele doszli do wniosku, że jednak rewolwerowa gazeta sportowa nie sprzedaje się w tych warunkach, więc trzeba wrócić do starego stylu. Tyle że już pod nowym kierownictwem, bo wypowiedzenia dostali naczelny i jego zastępcy, a nowym naczelnym został Stefek, który dotąd robił za latającego reportera, nie był arystokratą intelektu, a na pracy stricte redakcyjnej znał się niewiele. W styczniu urządził rzeź wśród dotychczasowych pracowników w redakcji warszawskiej, a w marcu przyjechali z prezesem wydawnictwa z pisemnymi wyrokami do Krakowa. Prawie wszyscy dostali trzymiesięczne wypowiedzenia bez konieczności świadczenia pracy. Z dziennikarzy zostali tu tylko Tomek, on i Konrad, a przyszło dwóch nowych, w tym kierownik oddziału, Piotr Gromek.

V.

Stali na moście i udawali to, czym w rzeczywistości byli. Zakochanych. No, ja już wypełniam prawie całą definicję, a przynajmniej główne warunki, pomyślał refleksyjnie. Robię wszystko, co moja pani rozkaże. Któregoś dnia zwierzyła się, że wstydzi się tamtej słabości po znalezieniu topielca i teraz chce udowodnić samej sobie, że nie jest głupią beksą. O podobne odczucia podejrzewałyby raczej faceta... Kiedyś uważał, że kobiety są w istocie nieskomplikowane, co przykrywają zręczną mistyfikacją, dzięki czemu uchodzą za trudne do zrozumienia. Jak każdy teoretyk potrafił to szeroko uzasadnić, lecz żadna z późniejszych, krótkich prób bliższego poznania przedmiotu badań tego nie potwierdziła, a teraz uznał, że tak głupi, jak w czasach liceum nie był nigdy.

Z naprzeciwka mrugały czerwone światelka kominów elektrociepłowni w Łęgu.

Karolina przekonywała go, że warto sprawdzić, jak z bliska wygląda ta barka i co się dzieje w porcie. "Może to nam podsunie wyjaśnienie tej historii". W niej wszystko było pełne: figura, uśmiech, optymizm.

Według najlepszych wzorów z powieści przygodowych dla nastolatków, ubrali się na czarno, mieli buty na gumowej podeszwie, w plecaczkach latarki, kilkumetrowy kawał liny, cienkie, ale mocne lateksowe rękawiczki, a Karola wynalazła u kogoś w akademiku drabinę sznurową z dwoma hakami na końcu. To ona stanowiła najważniejszy rekwizyt w planie wejścia na teren stoczni. Była druga w nocy z soboty na niedzielę. Pora wybrana równie starannie jak wyposażenie. Założyli, że zminimalizują ryzyko przypadkowych spotkań, a nawet jeśli ktoś się przypała, to będzie wracający do domu pijany imprezowicz. Nie brali pod uwagę portiera z Besady, który nie potrzebował soboty ani nocy, żeby sobie łyknąć i mieć śrubę jak okręt.

Przez cały mijający tydzień obserwowali stocznię. Wpadli nawet wreszcie na oczywisty pomysł, żeby zająć nad zatokę portową od strony ulicy Nowohuckiej. A tam - bingo! Długi, czarny, niski kształt z nieco wyższą nadbudówką, do połowy białą, a dalej w brązowym kolorze drewna.

Wznosiły się nad nią płaskie, niebieskie namioty. Barka spoczywała na kilku wózkach-kratownicach, wciągnięta bokiem po szynach kilkanaście metrów wwyż pochyłego brzegu. To dlatego nic nie było widać od strony Wisły. Niestety, tędy też nie można było dostać się na teren portu, bo nad brzeg zatoczki schodził wysoki płot, najeżony ostrymi kolcami.

Rozczarowani powędrowali wtedy w rozległe chaszczki nad Wisłą, po których miała rozlewać się woda w razie powodzi, potem wspięli się na wał, który tutaj był oddalony o kilkadziesiąt metrów od rzeki, aż przy ogródkach działkowych dotarli do Nowohuckiej, prawie w Łęgu. Zdawał sobie jasno sprawę, że tamto odkrycie oraz związany z nim zawód były bezpośrednim powodem dzisiejszej wyprawy.

Przez kilka wieczorów, siedząc w samochodzie zaparkowanym niedaleko, pod wiaduktem, monitorował główną bramę "Besady" i ogrodzenie sąsiadujące z budynkiem biurowym. Raz przyszło mu do głowy, że facet w eskorcie mógł wtedy robić dokładnie to samo. Ale kogo by śledził? Jego?! Nigdy się już na niego nie natknął, więc i nie myślał o tym więcej.

Stróż "Besady" obchody robił z rzadka, nawet kiedy był trzeźwy, psa nie było widać. To chyba ten biedny wilczur był wcześniej ich pracownikiem.

Ominęli schodki za mostem, żeby nie drażnić obłąkanego, rudego psa, zeszli dopiero na końcu wiaduktu. Ogrodzenie "Besady" wydawało się nie do sforsowania ze względu na te sterczące ostrza, za to już wcześniej zauważyli z wiaduktu, że dużo bardziej przyjazny jest płot oddzielający

port od przedsiębiorstwa przeróbki drewna. Murowany, z wygodną, płaską, dwudziestocentymetrową powierzchnią na szczycie i z prostokątnymi okienkami pół metra pod nim.

Najtrudniejszy był pierwszy odcinek - teren tej firmy od drewna. Na szczęście, oni nie mieli psa, za to ich dozorca wieczorem co jakiś czas robił na obchód, a wyglądał, jakby rozgrzewał się wyłącznie herbatą. Maciek wspinał się po drabince na ogrodzenie z blachy falistej, wystawiając ponad nie tylko głowę. Ja kręcę, co za pech! Stróż właśnie wychodził ze swojej budki.

Zeskoczył szybko, ale na ściągnięcie drabinki nie było już czasu. Próbował obserwować go w szczelinie pomiędzy płytami.

- Idzie tu? - Karolina z przejściem posapywała mu w ucho.

- Tak, cicho.

Wstrzymał oddech. Może nawet lepiej się złożyło, bo starszy pan podrepcze potem gdzieś dalej i tak szybko tutaj nie wróci. Nie zaskoczy ich zniecka. Żeby tylko nie zauważył drabinki.

Niepotrzebnie się obawiali, bo emeryt czy rencista tak jak ciężko szurał nogami, tak i chodził ze zwieszoną głową. Zawrócił i skierował się w prawo, w głąb przedsiębiorstwa.

Oni mieli tylko pięćdziesiąt metrów do przebycia i po chwili już zarzucali drabinkę na płot "Besady".

Zeskakując zrobił kilka kroków i kopnął piszczelem o płytki chodnikowe, nie wiadomo dlaczego leżące w tym miejscu. O mało nie odgryzł sobie języka, bo otworzył usta do krzyku i szybko zamknął, żeby nie krzyknąć. Usiadł na ziemi i kołysał się, trzymając oburącz za nogę. Co ja robię, przecież to jest jakiś krwawy absurd - pomyślał zgrzytając zębami - i mnie się wydawało, że mam stresującą pracę.

Cały tydzień zasuwali, przygotowując materiały przed meczem Wisła - Legia, który jutro mógł praktycznie rozstrzygnąć o mistrzostwie, ale teraz chętnie by do tego wrócił i zrobił dwa razy więcej. Zresztą już wieczorami, kiedy bawił się w pożał-się-Boże-detektywa, czuł, że opuszcza przytulny wygodny kokon, wchodząc do świata abstrakcyjnego, lecz jednocześnie niebezpiecznego. A jeszcze przedwczoraj, koło południa, siedzieli z Tomciarą i Zbigniewem Korzonkiem przy stoliku na Placu Nowym. Pili kawę, gadali, wokół było puściutko, nawet na kramach nikt nie handlował. Czasami tylko przemknęła jakaś grupka wagarowiczów z pobliskiego liceum, aż zaczęła sobie wyobrażać, że za chwilę pojawią się ci wszyscy melancholijni kupcy, którzy mieszkali tu przed wojną. No i ten Zbyszek, który wydawał się gburowaty, a przynajmniej opryskliwy, okazał się natomiast bardzo otwarty i sympatyczny. Nie wkurzył się nawet, kiedy na końcu spytali o plotki o "kurierze z Warszawy", który miał przywieźć walizkę z pieniędzmi przed niesławnym 0:6 Wisły z Legią. "Zastanawiałem się, kiedy poruszycie ten temat. Gdybyście od niego zaczęli, nie byłoby rozmowy. Może kiedyś opowiem o tym, albo i książkę wydam, bo wersji już było sto, a prawdziwej żadnej".

W czwartek Maciej pierwszy raz spotkał również kogoś, kto uratował ludzkie życie - Korzonek razem z masażystami Wisły reanimowali chłopca, który nagle stracił przytomność na zajęciach. A dzisiaj pierwszy raz włamał się do cudzej posiadłości.

Karolina chyba wyczuła jego nastrój. Uznała, że pocieszenie może go sprowokować do odwrotu, więc tylko klepnęła w łopatkę: "To jak, będziesz żył? Możemy iść dalej?". Pokuśtykał za nią obrażony. Przecież mógł mieć pękniętą kość!

Zabezpieczenia, poza płotami, mieli tu pierwsza klasa. Okręgowa. Nie natknęli się też na pułapki w rodzaju tych płytek. W świetle latarek, które zapalili, bo lampy najwyraźniej przeszły w stan spoczynku, a księżyc też spędzał sobotnią noc na domówce, zobaczyli tylko pryzmę porządnie ułożonych blach. Za nie popchnął Karolinę, kiedy z przodu usłyszeli jakiś dziwny plusk. To raczej nie ryba, za głośne. Dochodziło do nich też dużo cichsze chlupotanie, jakby dzieciak bił dłońmi o wodę w wannie. Tyle że bez śmiechów i krzyków.

- To w zatoczce, kawałek od nas, możemy podejść bliżej. Jeśli nawet tam ktoś jest, to nas nie zobaczy, bo między nami a wodą stoi barka. - Poszeptał i teraz to on ruszył pierwszy, mijając po prawej stronie dwa budyneczki, a trzeci większy zostawiając kilkanaście metrów po lewej. Już zapomniał o bólu. Dobiegli do widocznego zewsząd wysokiego żurawia z długim wysięgnikiem, a za nim wyrosła bryła długa i ciemna, ale zaskakująco niska. Zrozumiał, że musi stać w obniżeniu terenu i zatrzymał się gwałtownie, ciągnąc też za ramię Karolinę

- Auuu! Zwariowałeś, co ty wyprawiasz? - W tej chwili i ona zobaczyła, że mogli spaść kilka metrów w dół. "Armand" stał przy platformie, dzięki której dostęp z góry był ułatwiony, ale żeby znaleźć się przy dnie, należało zejść po metalowych schodkach.

Już na dole ostrożnie wysunęli głowy zza szpiczastego dziobu. Zrazu spojrzął na pustą zatokę, po której przesuwwały się drobne fale, a gdy podniósł wzrok na drugi brzeg, wydawało mu się, że w blasku księżycy znikają tam cienie i poruszają się gałęzie jednego z drzew.

- Popatrz tam ? szarpał ją za ramię, jednocześnie wskazując kierunek. - Widziałaś?

- Nie, patrzyłam na wodę, ale to chyba tylko wiatr wywołuje te fale. A tam w ogóle nic nie widać. No tak, może to tylko wiatr.

- To, co zarzucimy tu drabinkę?

- A może wrócimy schodkami na górę i wtedy wystarczy tylko podnieść nogę?

Zachichotała z zawstyżeniem. - No racja, przełączyłam się na tryb oszczędzania mózgu.

Te niebieskie namioty, które widział parę dni temu z drugiego brzegu, to były brezentowe płachty. Szarpiąc we dwójkę, odczepili jedną z mocujących je klamr. Kiedy podwinęli brezent i poświęcili latarkami za krawędź, okazało się, że zakrywają olbrzymie, ciągnące się daleko ładownie. W czeluściach, gdzie docierał promień światła widać było tylko pustą podłogę.

- Zdejmiemy to jeszcze kawałek dalej i zajrzemy?

- Sądzisz, że w tak wielkiej pustej przestrzeni ktoś coś zostawił? Od razu by zostało znalezione. Ta barka płynęła do Polski bez ładunku.

- Dobra, to chodźmy obejrzyć tamte budyneczki.

Przy dziobie stał niski czarny baraczek, z dwoma okrągłymi okienkami zasłoniętymi od wewnątrz i jednymi zamkniętymi na głucho drzwiami. Jesteśmy odkrywcy, jak z nosa dubeltówka, nawet włączyć się porządnie nie potrafimy - myślał, gdy wędrowali na rufę, gdzie była ta dwukondygnacyjna nadbudówka.

Karolina nacisnęła klamkę, a drzwi się otworzyły.

Gapili się na siebie z otwartymi ustami. Weszli do środka. Długi stół, przy ścianach szafki, krzesła, jeden fotel. Trochę przyrządów niezrozumiałego przeznaczenia. Karolina zaczęła pociągać kolejno za szuflady i drzwiczki w szafkach. Pusta, pusta, pusta. W najbardziej wyróżniającej się, ozdobnej, rzeźbionej w fantazyjne zawijasy, leżała niewielka paczuszka - zafoliowana, owinięta ściśle szeroką, beżową taśmą klejącą.

- Kurde, co to może być? - Karolina wzięła ją do ręki.

- Ja bym raczej spytał, dlaczego to akurat tutaj leży i dlaczego w wysprzątanym do czysta szafkach

zostało tylko to?!

Usłyszeli odgłosy hamowania, a pomieszczenie wypełniło się migającym, niebieskim światłem.

Rzucili się do okien; na placu za platformą z samochodów policyjnych - osobowego i furgonetki - wyskakiwali gliniarze, dwóch wyciągało na smyczy psy.

Serce mu łomotało, a ruchy paraliżował strach. Poderwał go szloch Karoli, która otworzyła szarpnięciem drzwi i wybiegła na platformę. Na tyle oprzytomniał, żeby wrzasnąć do niej: "wyrzuc to do cholery!", ale i tak zgubiła pakunek, zbiegając z platformy po schodkach. Znaleźli się na pochylni schodzącej do wody. Wilczury były tuż za nimi. Znowu ogarnęła go panika, bał się psów od dziecka, odkąd mały, ujadający kundelek dziabnął go w łydkę.

- Chodź! Tam! - pociągnął ją w kierunku budki umieszczonej na wieżyczce zbudowanej z kratownic. Wspięli się szybko kilka metrów. Psy były pod spodem. Nie mogły ich ugryźć, oni nie mogli nigdzie się ruszyć.

- Znowu się widzimy. Ale dzisiaj to już pogwarzymy sobie bez pieprzenia się w koniczynie - Mateusz Jesionek zadzierał do góry uśmiechniętą twarz. - Założenia są takie: my bierzemy psy na smycz, wy grzecznie schodzicie, my nie spuszczaemy już psów, a wy idziecie prosto do samochodu bez żadnych numerów.

Drugi raz w suce w tym miesiącu, myślał Maciej, to o dwa więcej niż przez 27 lat. Wisielczy humor szybko jednak mu minął.

- Panie starszy aspirancie! Panie starszy aspirancie! W tym pakunku, który oni wyrzucili jest chyba śnieg! Śnieg! - młody policjant, który przybiegł za nimi był tak podekscytowany, że głos mu się wznosił do pisku. - Paczka się rozdarła, jak ją wyrzucili, rozsypało się. Zenek wziął troszkę na język i mówi, że to musi być śnieg!

- Morda krótko! - Jesionek też stracił swój luzacki styl. - Mielicie zabezpieczyć dowody rzeczowe, a nie zażywać kokainę i oznamiać o tym całemu Dąbiu.

No to ekstra, za piętnaście godzin mecz z Legią. Może nawet by go nie zwolnili za samą nieobecność, ale jak okaże się, że przesiedział go w areszcie, to dostanie dyscyplinarkę. Nawet nie pomyślał, że jeśli go wsadzą za posiadanie narkotyków w takiej ilości, brak pracy nie będzie jego największym zmartwieniem.

- Ale to nie nasze! Znale... - urwał, kiedy Karolina przydeptała mu stopę.

- O czym tamten pan mówi? Przecież my nie mieliśmy ze sobą żadnej paczki. Przyszliśmy tu z plecakami, które przed chwilą sprawdziliście. Chyba nie wolno rzucać takich oskarżeń bezpodstawnie? - opanowana i chłodna, patrzyła wprost na Mateusza.

PAWEŁ FLESZAR